

TREŃ DO *Frederica Garcii Lorki*

Kula mu wydarła z piersi pieśń
lecz nie pogrzebie wiersza przepaść nocy,
silniejsze niż z wyroków śmierci —
Garcii Lorki usta i oczy.
Niezapłana karta pragnie jego słów,
każda członka skłinenia czeka,
nie zadusię błyskiem lakierowanych łut
niepodległego człowieka.

Przeklęty niech będzie po trzykroć,
kto pieśń zabija i więzi;
niech mu się zdaje śmiertelną
jak rana — każda godzina.
Nie znalazł nic oprócz męki,
nie spotka życiowych ludzi
i nawet promień słoneczny
będzie dla niego chłodny.
Choćby pociski ma celne
i rozkazuje powietrzu,
przez żywych i przez umarłych
po trzykroć będzie przeklęty.

Guardia civil ma siłę,
knebluje hiszpańskie lata,
które poeci z oczywistą
na koniach ognistych nieśli.
Żandarm nie znalazł mogił
w ziemi i kazamatach,
co Federica Lorkę
w milczenie wieczne pomieścił.

Powróć do rymów ciemnych
wszechobecnymi usty,
powróć do tkliwych pieśni,
choćby zamknięte ma serce
i otwór grobowy będzie
niezasklepiony i pusty.
Dla lutni nie ma więzienia,
banicji nie ma i śmierci.

ZYGMUNT MIKULSKI

MŁODZI MÓWIA

Zielony jest liść akacji. W słońcu dojrzewa owoc.
Dzień zanim mleśnie spręż, do ziemi się uśmiecha.
Ciebie, ziemię i słońce wyznaje nasza młodość
Tak gorąco, jak szczęście, jak trud człowieka.

Zobacz, że świat to muzyka, w którym i ty jesteś tonem.
Towarzyszu! Nasz akord miasta wzniesie i porty!
Wszystko co łączy naspród i wszystko co łączy
Z naszej pieśni wytryska — gorąca krew z artery.

Młodość śpiewamy. Jedność. Rękę, co niesie młot.
Śpiewamy przyryw morza i głos słowika w parku.
Śmiech przy zrywaniu jabłek, skrzydeł gołębi lot
i motoru w kopalni pięciusetkonny warkot.

I nie oddamy świata na pastwę dymu i ognia.
Fałszywe dolara słońce przed naszym słońcem skona.
Do mety przyszłych dni jak helleńską pochodnię
Niesłemy dzień dzisiejszy na złoczonych ramionach.

Pokój jest naszą siłą. Wyżej sztandar i głos!
Rękę, co nożem bryska, dłoń naszą ze stawów wytamle.
Mocniej. Swobodniej. Razem. Marsz, marsz, nasz gniew, nasz los
Uderzy, jak uderzał z bruku wyrwany kamień.

Towarzysze! To radość iść tak pod ostrą wiatr
i złamać, które wszędzie nieś w zacienionych płaszcach.
Świat nie zatrzyma się w marszu. My prowadzimy świat.
My — wyznawcy człowieka, ziemi, słońca i szczęścia.

ZYGMUNT KWAPIŃSKI

Poetom

Nie trwóćcie się patosu! — Gdy zło dłoń znów zbliża,
By raz trzeci w stuleciu przyblić nas do krzyża,
Mrocznego krzyża wojny, zhańbionego dymem
Stutthofów, Oświęcimów, Majdanków, Treblinek;
Gdy lek dziewcząt, krzyk matek i nawet jęk starczy
Jak armia wielka wstąpi, by z tatrami walczyć —
O wtedy bijcie w strofy, z serc dobądźcie szczytu
Sztabu brzozy pionącej i złomy granitu,
Z których spoj czas — spawacz, mistrz czujny, wytrwały
Pomnik — dzwon rzeczom dumnym, aby dumnie trwały!

Wiersze te zostały wyróżnione w konkursie przedfestivalowym na twórczość literacką.

Kronika

Przedfestivalowy konkurs artystyczny wzbudził największe zainteresowanie wśród twórców ludowych. 800 artystów ludowych nadesłało 3.264 eksponaty, z których większość odznacza się dużym artystycznym, literackim i folklorystycznym walorem. Konkurs sztuki ludowej przeszedł najśmielsze oczekiwania. O stosunku artystów ludowych do tej pięknej imprezy festivalowej, świadczy między innymi fakt, że wielu z nich swoje utwory ofiarowało gościom Festivalu.

W przeciwieństwie do twórców ludowych, artyści zawodowi zignorowali konkurs. Jedynie w konkursie na utwory symfoniczne i wokalne-symfoniczne wzięli udział tacy kompozytorzy jak Stanisław Wiechowicz, Piotr Perkowski, Witold Rowicki, Zbigniew Turski. Natomiast w konkursie na marsze i pieśni ludowe nie wziął udziału żaden z wybitnych kompozytorów. Najgorzej wypadł konkurs literacki. Czyżby pisarze nasi nie intere-

sowali się wcale Festivalom i jego pięknymi ideami? Nie tylko konkurs, ale także brak jakiegokolwiek publikacji literackich (wspomnień ze zjazdów i spotkań międzynarodowych, opowiadań, esejów, felietonów, utworów poetyckich) że świadczy o naszych prozaikach i poetach. A może zrehabilitują się oni wobec czytelników, zwłaszcza ci, którzy wyleźdzą za granicę — spotkaniami autorskimi!

TEATRY NA FESTIWALU

Na Festival przybędzie szereg teatrów zagranicznych. Kanadyjski zespół teatralny „Theatre du Nouveau”, który obecnie bierze udział w Festivalu Sztuki Dramatycznej w Paryżu, wystawi w Warszawie 3 sztuki Moliere. Flamandzki Teatr Ludowy (Belgia) wystawi pantomimę synagogalną „Dyla Sowidzrała”. Zespół Zawodowy „Fabri” z Francji, który zdobył pierwszą

nagrodę w konkursie młodych zespołów, wystawi „Ariekina” — przedstawienie obrazujące najlepsze tradycje teatru francuskiego. Teatr „Berliner Ensemble”, który wzięliśmy już w Polsce, wystawi jedną ze sztuk Bertolda Brechta. Będziemy gościć również zespół murzyński „Teatr Ludowy z Brazylji” oraz zespoły z Afryki Zachodniej, które pokażą nam ciekawe i oryginalne obrzędy ludowe.

TAKIEGO KARNAWAŁU WARSZAWA JESZCZE NIE WIDZIAŁA

W przeddzień zakończenia Festivalu odbył się największy spośród dotychczas urządzonych na Festiwalach karnawałów. Jego program będzie bardzo atrakcyjny. Zobaczymy maskaradę, podczas której odegrana zostanie pantomima przedstawiająca wydarzenia historyczne, epizody z życia bohaterów legend i bajek różnych ludów. Odbędą się także „bitwy kwiatowe”, bala maskowe, występy cyrkowe, tańce. Ujrzymy piękne lumina i ogień.

BALWANT GARGI

Pisarz hinduski

KROPLA WODY

(Opowiadanie)

Mansa Singh siedział na progu swojej słonecznej chałupy i w zamyśleniu przebiegał palcami gęstą siwiejącą brodę.

Nieczęsto miewał okazje do tak głębokiego namysłu. Właściwie to tylko trzy razy w ciągu całego życia. Raz, w czasie egzaminów w szkole, gdy zapomnieli, jak się pisze słowo „słońce”, drugi raz — kiedy umarła mu żona, a on przez kilka dni nie wiedział, do czego się zabrać; i trzeci raz, gdy wezwano go do sądu w charakterze świadka i musiał odpowiadać na krzyżowe pytania chytrych adwokatów o czujnym spojrzeniu... No i teraz...

Mansa Singh łamał sobie głowę nad tym, co usłyszał wracając do domu: „Daleko, na Oceanie Spokojnym wybuchła bomba i zapaliła wodę wokół siebie. Jak to może być? Jak może palić się woda?”

Słowa mówcy wciąż jeszcze dźwięczały mu w uszach. Mansa Singh usilnie starał się przedzić je z głowy, ale słowa były natrętne... Tak bawół wymachuje ogonem, żeby zgonić z grzbietu roje much...

„Ameryka dokonała na Oceanie Spokojnym próby bomby wodorowej — mówił orator. — Jedną z wysp Bikini zamieniła się w zięjącą ranę... Woda się zapaliła, i ryby zdechły, i ciała kilku rybaków zamieniły się w węgiel... Bomba wodorowa zagraża całej ludzkości...”

W czasie tego przemówienia Mansa Singh ze trzydziści razy słyszał „bomba wodorowa”. W drodze do domu zapytał

chudego urzędnika, co to znaczy. Potem o to samo zapytał adwokata z nosem jak u jastrzębia; tłustego kupca w białej czapce z samodzielnego płótna; rosnącego żołnierza z wąsami zakręconymi ku górze niby ogon skorpion; sklepiarza, który sprzedawał tkaniny. Odpowiedzi ułożyły się w jego głowie w następującą całość:

„Tam, gdzie wybuchnie bomba wodorowa, może zginąć wszystko na lądzie i na wodzie. Ludzie zaczęli chorować na trąd i na inne nieuleczalne choroby”.

Wstrząśnięty tym Mansa Singh zapytał adwokata:

— Czy ludzie ci umrą?
— Tak, umrą.
— A ci, którzy skryją się w jaskiniach lub wejdą na szczyty gór, co będzie z nimi?
— Ci też umrą.

Przekonany o szczególnej żywotności Anglików, zapytał:

— Nawet angli umrą?
— Tak. Nawet angli.

Mansa Singh pokręcił głową. Adwokat dodał:

— Bomba wodorowa zabija wszystko. Wszystko zamienia

w popiół.
Mansa Singh zapytał:

— A co to właściwie jest ta bomba wodorowa?

— Potwór, który może zapalić nawet wodę — odrzekł adwokat o jastrzębim nosie.

Nie mieściło się to w głowie Mansa Singha. Alboż to woda może się palić? Przecież to niemożliwe.

Nagle przypomniał sobie zabawną bajeczkę, którą czytał, gdy był jeszcze zupełnie mały.

„Na brzegu rzeki siedzieli trzej głupcy i łowili ryby. Jeden zapytał: „Co się stanie z rybami, jeżeli woda w rzecze się zapali?”

Drugi odpowiedział: „Ryby uciekną na drzewa”.

Do rozmowy wtrącił się trzeci: „Głupstwa! Czy ryby to krowy, albo bawoły, żeby laziły po drzewach?” Wówczas Mansa Singh nie potrafił ocenić żartu. Ale już jako uczeń czwartej klasy śmiał się z własnej głupoty. Czy rzeka może się palić? Tamta trójka to rzeczywiście patentowni durnie.

Gdy kończył piątą klasę i miał przejść do szóstej, zetknął się twarzą w twarz z nauką o przyrodzie — przedmiotem zbyt skomplikowanym dla jego prostolinijnego umysłu. Kiedy przeczytał: „Woda płynie w dół, nie nie mógł zrozumieć. Przecież każdy wie, że woda płynie w dół! Kto tego nie wie? Po cóż więc pisać o tym w książkach? A potem musiał wykuc na pamięć wiele śmiesznych i jego zdaniem bezsensownych prawd naukowych, które były tak oczywiste lub zawiłe i skomplikowane, że teraz wszystkie już zapomniał. Ale jedno stwierdzenie zostało jednak ślad w jego pamięci. Wiele lat temu dowiedział się, że woda składa się z dwóch gazów — tlenu i wodoru. Ta dziwna gądzka męczyła go przez wiele lat. Dwa gazy z powietrza łączą się i rodzi się woda... Dziwnie! Jak mogło powietrze, ciało bezkształtne, którego nie można ani zobaczyć, ani dotknąć, ani spróbować, jak mogło powietrze zrodzić ciecz, która płynie i ma wagę? Co to jest powietrze? Nadmie człowiek policz, dmuchnie i powietrze mknie, bóg wie dokąd!

Tlen i wodór... Te dwa gazy o śmiesznych nazwach płatały się w chłopskim mózgu Mansa Singha. Często się mylił, pisał ich nazwy i pewnego razu nauczyciel wyspał mu za to grubą łaskę.

Wtedy Mansa Singh zlał pod pachę swój tornister i uciekł do domu. Po drodze wrzucił swoje podręczniki do grząskiego błota i więcej do szkoły nie poszedł. Całe życie pamiętał, że kropla wody składa się z tlenu i wodoru. Ta prawda naukowa jawiła się przed oczyma jego wyobraźni jako rześlina. Myślał, że jeżeli krople wody zasadzi do ziemi niby ziarno pszenicy, to wypuści kielik...

Kiedy Mansa Singh rzucił szkołę, wstąpił na służbę do majora Thomsona, za dwanaście rupii miesięcznie.

Major Thomson, którego Mansa Singh nazywał „Tom-ton-sahib”, bardzo lubił polować. Mansa Singh ze swoją przedpotopową strzelbą zawsze towarzyszył sahibowi w czasie polowania w gęstej dżungli. Dwukrotnie uratował go od niechybnej śmierci, kiedy sahib spuścił strzelając do tygrysa. Mansa Singh zastrzelił oba tygrysy i oddał je sahibowi. Sahib niekiedy klepał go po plecach i mówił: „Jesteś dzielnym człowiekiem, Mansa Singh! Sikhowie są bardzo dzielni!” Te pochwały dodawały otuchy Mansowi Singhowi, czuł się pewnie pod ich wpływem. Były dla niego niczym złote medale, które troskliwie przypinał do własnej pamiłki.

Gdy zaczęła się pierwsza wojna światowa, Mansa Singh wystąpił na front, daleko, daleko, przez czarne fale oceanu. Tam mu wydano turban z galonami, czerwoną tunikę z wysokim kołnierzem, pas z błyszczącą miedzianą klamrą i skrzyjące buty. Czego jeszcze mógł pragnąć Mansa Singh? W tym bardzo czerwono-złoty uniformie zestarzał się

Mijały dni za dniami. Po rozbięciu kraju Delhi zajęto się uciekinierami. Z rodzinnej wioski Mansa Singha, która okazała się teraz w Pakistanie, przyszło wielu jego przyjaciół i krewnych. Gnieździł się na brzegu rzeki Dżumny w lepiankach naprędce skleconych dla uciekinierów. Mansa Singh był bardzo przywiązany do swoich krewnych i przyjaciół, przeprowadził się więc do trzcinowej izdebki w tym mieście uciekinierów, gdzie komorne wynosiło tylko trzy rupie miesięcznie.

Przez całe życie nigdy nie wypadło mu wspominać o tym, czego uczył się w szkole, ale dziś... Siedział na niziutkim progu, gdzie zazwyczaj czyścił swoją strzelbę lub spłatywał frezde grubego szala, i myślał. Dzisiaj usiłował spieść swoje myśli, spieść w jedną prostą nić. Jednakże rozprzeczne myśli wymykały mu się...

Zgęstniał wieczorny zmrok. Gong dalekiej świątyni wzywał do wieczornej modlitwy. Dźwięk gongu przypominał głos wydawany przez głodnego lwa.

Mansa Singh również poczuł głód. Wstał i rozpałił ogień. Od śmierci żony sam sobie gotował posiłki. Posilwszy się, wszedł do izby i położył się.

Wciąż to samo pytanie wracało z natrętnym uporem: czy woda może się palić?

W Delhi widział nieskończenie wiele domów, jak płonęły wysokie domy, i strażacy z długimi węzami, z których tryskały strumienie wody, walczący z ogniem i gasili go. On sam codziennie po ugotowaniu posiłku zalewał wodą ogień w piecyku. Jakże może zapalić się woda? Jeżeli woda może się palić... Ale jeżeli...

Męczył się, usiłując to zrozumieć.

Albo jeżeli... Ale jeżeli tak, to na ludzie można będzie piec piacki? A jad będzie leczył? A miek zabijał?... Cóż to za dziwna potęga ta nauka, która przewróciła do góry nogami wszystkie pojęcia o świecie i zagadła podstawom naszego istnienia?

Wodór, który może powstać z wody, będzie teraz niszczył samą wodę? Kwiak zrodzony z soków rośliny będzie pożerał roślinę? Jak to może być?

Mansa Singh usiłował zasnąć, ale sen nie przychodził. Krew pulsowała w skroniach, rozpalone żyły kłuli ciało... Znudzony, zasnął wreszcie. Śniły mu się dziwaczne sny, wiele fantastycznych, bezkształtnych chaotycznych snów...

Oto trzy głupie ryby siedzą na brzegu rzeki łowiąc na wędkę krowy i bawoły... Nagle z wody wychodzi olbrzymi tłum rogatych ludzi... Mansa Singh znów jest w szkole i słucha wykładu nauczyciela... Tlen i wodór tworzą kroplę wody! Kropla pęcznieje, pęcznieje, rozdyndyna się niby piłka gumowa. Zamienia się w olbrzymią kulę... Kula wciąż rośnie, już jest większa od Delhi... I nagle wybuch! Wyrzywa się z niej rzeka płynnego ognia... Płomienie pływają i przybierają ciemno-błękitną barwę...

Oto podnoszą się niebieskawe wody Dżumny... Mansa Singh widzi pluszczące fale. Podnoszące się wale wodne. Wiry, diabeł z zielonymi oczami ciska płonącą zapalkę do wody. Tafla wodna zapala się. Woda zaczyna się pnieć i kipi, bierzy sine mleko... Rzeką ognia rusza na Mansa Singha. Izdebkę jego obejmują płomienie. Rozlega się głośny trzask — bang! — i izdebka pęka, jak balonik...

Mansa Singh obudził się zdjęty przerażeniem. W niszczycielskiej palii się nieduży gliniany kaganek. Ogień kosił się niczym języczek żmii. Nagle mignął kilkakrotnie i zgasł. Zrobiło się ciemno... Mansa Singh stracił orientację. Co się stało ze światłem? W jakimś ułamku sekundy promienie światła zginęły w nieogarnionych przestworach mroku, zginęły na zawsze. Wieg tak samo rzecz ma się i z człowiekiem? Tak samo niespodzianie zgaśnie płomień życia — i nie ma człowieka? Tak samo nagle wybuchnie bomba wodorowa — i koniec?

Coś dotknęło ręki Mansa Singha. Krzyknął zaskoczony. Co by to mogło być? Wstrząsnął się bacznie w ciemności.

Izdebka trzęsła się jak mała klatka miesztana burzą. Czyżby trzęsienie ziemi? Konię światła? A może to, co ludzie nazywają dniem sądu ostatecznego? Pot wystąpił na czoło Mansa Singha. Ogarnęła go groza. Nie mógł się poruścić. Przyszył go dreszcz. Usłyszał przylumiony łoskot, który zbliżał się, narastał... Huragan dźwięków. Poczuł skurcz w krtań. Siedział na posłaniu ostrożnie rozglądając się na wszystkie strony, w takim napięciu, jak to czyni człowiek stangawszy oko w oko ze śmiertelnym niebezpieczeństwem. Wstrzymując oddech nasłuchiwał.

Padal silny deszcz. Wiatr wyl, niczym zwierzę zaplątany w sieć. Może to skutek tego, że gdzieś daleko na morzu wybuchła bomba?

Na chwilę wyjrzał kuśtyć. I nagle przy jego blasku Mansa Singh ujrzał kroplę wody, która przeszyła się przez sufit i spadła na podłogę. Inna mała kropla spadła mu na

rękę, zimna i ostra jak igła... W strachu poderwał się na równe nogi...

Na drewnianej desce przyczepiona kropla wody lśniła jak kropla krwi. Jak brylant w głowie kobry. Błyszczała jak trzęcie oka boga Szivi o-garniętego gniewem...

Mansa Singh zadrżał ze strachu...

Jeszcze jedna kropla spadła z sufitu. Kropla wody. Wody, z której otrzymuje się wodór... Wodór...

Na kształt krzywej szabli, niebo przeszło błyskawicą oświetlając obłoki. Mansa Singh siedział bez ruchu. Owładnięta nim jedna, jedyna myśl. Czego się bał? Czego?

Bywał w głębokich wąwozach. Wspiął się na strome zbocza górskie, gdzie groziła śmierć. Chodził nocami po gęstej dżungli, gdzie na każdym kroku czyhało niebezpieczeństwo. Widział powstania, i śmierć, i wojny. Maszerował polami bitew, pokrytymi trupami. Ale nigdy nie odczuwał strachu.

A teraz kropla wody...

Dotknął jej. To była woda.

Woda, która oczyszcza nasze ciało i naszą duszę. Woda, która płynie w żyłach kwiatów, drzew i roślin dających chleb. Woda, która jest we wszystkim, co tylko żyje na ziemi...

Jakże można bać się wody! To był głupi strach. Czy to możliwe, by człowiek upadł tak nisko? Oto jak strach sparaliżował jego wolę, jak go poniżył! Co za hańba! On i tchórzostwo!

Zobaczył w myślach armie, z którymi kroczył polami walki, ludzi, z którymi zwyciężał.

Wróciła doń jego dawna żołnierska odwaga. On, który dotąd poruszał się niby we mgłę, ożył nagle, stał się śmiały i triumfujący. Widział bitwy i powstania w Delhi, widział również pochody robotników fabrycznych, potężne zebrania poświęcone pokojowi na całym świecie, zebrania, nad którymi powiewały białe sztandary.

Jako stary żołnierz śmiał się niekiedy w duchu z tych ludzi, nawet nie próbując uświadomić sobie, dlaczego ci ludzie tak żądają pokoju. Jakiego pokoju? Mruczał pod nosem: gołębie, podpisy, hasła... Czyż to wszystko może powstrzymać wybuchy bomb?

...Ale na jego oczach ruch ten narastał, szerzył się. Z jednego podpisu wyrósł tysiąc i miliony podpisów. Z jednego głosu wyrósł potężny chór śpiewający pieśń o pokoju.

I on, Mansa Singh, też powinien podnieść swój głos za pokój. Powinien przyłączyć swój głos do chóru. Powinien dodać swoją kroplę odwagi do olbrzymiego oceanu pokoju, przylączyć się do głosu narodu. Głos człowieka może zagłuszyć marsz armii! Tak! Może powstrzymać wybuch bomb. Tak, może. Jest większy niż wszystko na świecie. Głos człowieka, głos narodu.

Delikatne głosy dzwonów, niby kroki tańczącej dziewczyny, dobiegły do Mansa Singha. Otworzył okno. Świtało. Poranne niebo było przezroczyste, a gwiazdy wyglądały jak przymglone krople rosy. Dźwięk dzwonów toniał w chłodnym powietrzu ranka. Smugi światła wrywały się ze wschodu. Płaki nawoływały się na drzewach. Krople rosy lśniły na płocie. Mansowi Singhowi wydało się, że głowa jego sęga nieba, że jest nakryta koroną z kropli wody, które mienią się jak brylanty w porannych promieniach słońca.

Tłum. z rosyjskiego
Z. BAUMGARTEN

Niżej publikujemy rysunki z teki specjalnego wysłannika czasopisma „Ogoniok” do Korei K. WYSOCKIEGO.



Stary Koreańczyk z fajką



Bohater Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej, podpułkownik lotnictwa Pak Con Sik



Artystka opery klasycznej w Phenianie Kan Kap Sun w roli Czun Chian w operze „Baśń o Czun Chian”.



Ranek. Phenian.

KOREA, styczeń 1955 r.

